

Renuncyacya arcyksięcia.

Z biegiem lat coraz częstsze zachodzą wypadki, iż członkowie różnych domów panujących zrzekają się swych tytułów i wszystkich praw im na-



Romantyczne porwanie: Barbara Łopuchinówna.

leżących, by móżdż zdala od dworów pędzić życie w spokoju. Usposobienie takie już oddawna zdradzał arcyksiążę Henryk, syn umierającego obecnie wielkiego księcia Ferdynanda tokańskiego, a brat Leopolda Wölflinga i pani Toselli. Obdarzony wielkimi zdolnościami artystycznymi, zwłaszcza do miedziorytnictwa, od lat kilku z wielkiem zamiłowaniem oddawał się sztuce. Marzeniem jego było wyjechać na studia do Paryża lub Monachium. Niestety obowiązki arcyksięcia nie pozwalały mu dotychczas na urzeczywistnienie zamiarów, pomimo iż w życiu dworskiem przyjmował

bardzo mały udział. Obecnie jednak rozchodzą się pogłoski, iż arcyksiążę ma istotnie usunąć się zupełnie w zacisze życia prywatnego. Plotkarska opinia przypisuje renuncyacyi arcyksięcia różne romantyczne pobudki, oczekując po nim takich samych skandali, jakie wywołali rodzonego jego brat i siostra; arcyksiążę Henryk sprawi jednak tym wszystkim zawód, bo, o ile słyhać, nie tylko nie pochwała czy-

nów swego rodzeństwa, ale nawet zerwał z niem stosunki. Arcyksiążę Henryk za wzór swój obrał raczej bliskiego krewnego Jana Orthę, do którego jest bardzo podobny.

Na razie niema nic jeszcze pewnego o istotnych zamiarach arcyksięcia Henryka.

Romantyczne porwanie.

Olbrzymią sensację wywołała w całym świecie wiadomość o tajemniczym zniknięciu w Londynie Barbary Łopuchinówny, córki szefa policyi w Rosji za czasów Plewego. Panna Łopuchinówna, wracając wieczorem z teatru, zniknęła nagle towarzyszącej jej guwernantce i swej młodszej siostrze. Rozpoczęto natychmiast poszukiwania. Prezes ministrów Stołypin telegraficznie polecił ambasadzie rosyjskiej w Londynie, by dołożono wszelkich starań w celu odszukania pochwyczonej. Sądono, iż porwanie to jest aktem zemsty ze strony rewolucjonistów, którzy w ten sposób chcieli się pomścić na ojcu Barbary za jego poprzednią srogość. Sama panna Łopuchinówna nie odznacza się urodą, ani też nie nosi z sobą większych sum pieniędzy lub cennych biżuterij, któreby mogły przynieść tajemniczych złoczyńców. Kilku dziesięciu detektywów napróżno poszukiwało zaginionej, nie natrafili nawet na najmniejszy jej ślad, aż naraz guwernantka i ojciec Łopuchinówny otrzymali następnego dnia od niej listy, w których donosi im, iż jacyś nieznani ludzie pochwycili ją pamiętnego wieczoru i zawieźli do jakiegoś samotnego domu, z którego nie może się wydostać. List ten udało się jej doreczyć jakiejs dziewczynce, której za wysłanie go ofiarowała złotą broszkę. Listy nie pomogły jednak do odnalezienia zaginionej; poszukiwania trwały nieustannie w dalszym ciągu, wydano już na nie kilkanaście tysięcy rubli, gdy ku zdziwieniu wszystkich panna Barbara naraz zjawiła się sama w domu. Z powodu silnego podrażnienia nerwowego nie może dać obecnie żadnych wyjaśnień o szczegółach i powodach zniknięcia, pokryte jest więc ono narazie tajemnicą, pod którą kryje się zapewne romantyczne usposobienie bohaterki ostatniej sensacji europejskiej.

Ujęcie włamywaczy.

Nadzwyczaj śmiałe włamanie i obrabowanie kantoru bankierskiego braci Eibenschützów podnieciło sprężystość krakowskiej policyi, która ze zdwojoną gorliwością puściła się w pościg za złoczyńcami. Mimo to publiczność była przygotowana,

iż złodzieje ujdą pościgowi i w dalszym ciągu będą swobodnie bujali. Los jednak sprzyjał w tym wypadku władzom bezpieczeństwa, udało im się bowiem ująć w Katowicach jednego z głównych sprawców zbrodni.

Do kantoru bankierskiego Hirschfelda w Katowicach, zgłosił się mianowicie przed paru dnia-



Ujęcie włamywaczy: Jan Sobolewski, ujęty w Katowicach sprawca kradzieży w kantorze Eibenschützów.

mi jakiś młody człowiek z większą sumą pieniędzy w monetach austriackich, pruskich i amerykańskich, których jednak wartości on nie znał. Obudziło to podejrzenie właścicielki kantoru, która słyszała już o krakowskim włamaniu. Posłała tedy po męża. Podczas tych pertraktacyj dwóch towarzyszy tego młodego jegomościa czekało na ulicy. Gdy mąż właścicielki nadszedł i potwierdził podejrzenia, wezwano policyę. Na widok wchodzącego policyanta wraz z bankierem do kantoru, dwaj wspólnicy z przed banku uciekli, a w ręce policyi dostał się tylko ów pierwszy jegomość, który też wkrótce przyznał się do krakowskiej kradzieży. Nazwisko swe podał jako Jan Sobolewski z Warszawy. Za kradzieże w Królestwie był on zesłany po odsiedzeniu więzienia do Nowomińska, skąd zbiegł na gościnne występy do Galicyi. Wspólników swych nie chce wydać.

Ostatnie wiadomości donoszą, że i dwaj jego towarzysze zostali już w Warszawie pojmani.

Z lwowskiego bruku.

(Jak my przygotowujemy cholere. — Zawiedzione oczekiwania choleryczne. — Po czem poznajemy nadchodzącą zimę? — Słowo o Filharmonii, czy Filmorgonii, a słowo o Colosseum i jego jednoaktówkach. — Curiosum statutowe. — Człowiek bez głowy w Wydziale krajowym. — Oświadczenie w sprawie dwóch panien).

My jeszcze ciągle przygotowujemy w mieście cholere. To znaczy: jedni przygotowują cholere starając się o utrzymywanie jak największych nieczystości w domu, na podwórzach i na ulicy, a inni, z panem doktorem Legeżyńskim na czele, zwalczają cholere, której jeszcze niema. Ale już się drukuje pouczenia o cholere, okólniki do cholery, polecenia do właścicieli realności, broszury, komunikaty i wiersze, które znowu lwowscy poeci drukują w pismach codziennych, co bodaj czy nie będzie skuteczniejszym środkiem, niż wszystkie inne dezynfektory. Samej cholery niestety jeszcze niema, pomimo że mieszkańcy czynią wszystko możliwe, ażeby jej tu umożliwić pobyt jak najdłuższy, a jeśli nie pojawi się w tym tygodniu i zawiedzie nasze oczekiwania, to stracimy nadzieję, żeby wogóle w tym roku jeszcze zajechała do Lwowa, bo zaczynają się mrozy.

Nietylko po fioletowych nosach mieszkańców, a zwłaszcza mieszkanki Lwowa, ale i po minach i tonie handlarzy drzewa i węgla poznać można, że już mamy zimę. Zima przyszła tak niespodziewanie, że ludzie jeszcze nawet czasu nie mieli na wykupienie z zastawu ciężkich, bo obciążonych długiem paletotów zimowych, a dyrekcya Filharmonii lwowskiej jeszcze nie miała czasu zapalić w piecu, do czego swoją drogą przygotowuje się już od dwóch lat. Czynn to, jak powiadają recenzenci, z rozmysłu, aby śpiewakom ułatwić kolora-

turę czy tremolando, a publiczności ucieczkę z koncertu. Ta cała Filharmonia lwowska to właściwie jeden wielki skandal, który może mieć miejsce w prowincjonalnej dziurze, ale nie w stolicy kraju. Daje w roku pięć, czy sześć marnych koncertów bladych, nowoodkrytych gwiazd zagranicznych i kilkanaście redut dla wesołych cór Koryntu i ich sutenierów czy alfonsów i to wszystko razem nazywa się skromnie „Filharmonią“ zamiast, jakby należało, „Filmorgonią“.

Przyznam się, że od dwóch lat nie byłem i nie chciałem być na żadnym „koncercie“ Filharmonii lwowskiej, ale zawsze duszę się ze śmiechu, ile razy czytam te błazeńskie zachwyty w komunikatach żeńskiej dyrekcji Filharmonii i potem je porównuję ze sprawozdaniami recenzentów. Szóstkę dałbym za to, żeby mi pokazano tego autora komunikatów dziennikarskich z Filmorgonii lwowskiej. Wyobrażam sobie, że to musi być jakiś dziecinie obciążony narwaniec, który zamiast głowy ma tylko uszy i język.

Dziennikom się nie dziwię, że owe komunikaty przyjmują i drukują, skoro drukują o wiele śmieszniejsze komunikaty i „recenzje“ z tinglu familijnego, wabiącego się Colossenm. Tu wyrządza się publicie jeszcze większą szkodę, skoro reklamuje się tinglowe popisy podkasanych dziewczek i zachęca się „familie“ z dziećmi do ich oglądania.

Program bywa tam teraz o wiele mniej przyzwoity, niż dawniej, bo zawsze i stale wprost ordynarny, a nawet bezczelny w polskich jednoaktówkach. Bo jeśli tynglowka gardłuje po szwabsku swoje dwuznaczniki, to takie lwowskie dziecko patrzy, jak sroka w kość i nie rozumie ani słowa. Ale jeśli mu się rzecz wyłoży po polsku, to łowi każde słówko, każdy dwuznacznik uchem i ma akuratnie dość. A takich rzeczcy nie powinno się zachwalać i do nich zachęcać.

Artyści naszego teatru odbyli w tym tygodniu posiedzenie, ażeby zaprotestować przeciw nowemu statutowi emerytalnemu, którego autor miał podczas układania tego statutu wszystko, tylko nie głowę. Nie wiadomo tylko, czy autor tego statutu od urodzenia niema głowy, na co wskazywała ta okoliczność, że jest radcą Wydziału krajowego, czy też ją tylko gdzieś zapodział i to właśnie na czas układania statutu. Na to wskazują niesłychane dziwolagi, które wynikają z interpretacji tego statutu. Dla przykładu warto przytoczyć tylko to jedno, że aktor, któryby dziś chciał przystąpić do funduszu emerytalnego, musiałby płacić miesięcznie akuratnie pięć razy tyle, ile wynosi jego cała gaża miesięczna! Na taki pomysł mógł się zdobyć tylko galicyjski referent galicyjskiego Wydziału krajowego! Niech się o tem dowie zagranica, a przyjeżdżać do nas będą turyści, aby oglądać na własne oczy referenta, odfotografować go i sprzedawać jego widokówki jako curiosum: człowiek bez głowy.

Ponieważ dziś już piszę o drugim człowieku bez głowy, a mogliby się na mnie gniewać inni, że w wyliczaniu takich okazów ich lekkomyślnie pominałem, przeto zapowiadam, że uczynię to kiedy indziej, bo dziś szczupłość miejsca nie pozwalała mi na to, zwłaszcza że muszę jeszcze konieczne zrehabilitować dwie panny, które całkiem niewinnie „padły ofiarą“ przedostatniego listu mego. Była tam mowa o dwóch pannach, które, wążając się po całym mieście, miały jakieś przykre zajście w jednej z kawiarni lwowskich. Ponieważ niektórzy złośliwi ludzie nagabują o to dwie panny zupełnie w tej sprawie nieinteresowane, przeto oświadczam, że opisane zajście nie dotyczy wcale panien Loli S. i Jadwigi K., które z tą całą sprawą nie miały nic wspólnego. Opisane zajście dotyczy całkiem innych osób.